Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. **No. 37.** Leszno, *dnia* 13. *Marca* 1841.



X. *Albertrandy Jan.*

Albertrandy Jan.

Ur. 1731. *w Warszawie,* † 1808 *w Warszawie.*

Wielki ten mąż w Warszawie początkowe nauki pobierał. W szesnastym roku wieku swego wstąpił do zgromadzenia Jezusowego, a w 19tym roku już był publicznym nauczycielem w Pułtusku, póżniéj w Płocku, Nieświeżu i w Wilnie. Między rokiem 1760. a 1764., użyty przez Józefa Załuskiego jako bibliotekarz w ogromnéj Załuskich książnicy, przywiódł do skutku ułożenie katalogu. W roku 1764. przez Prymasa Łubieńskiego wezwany na nauczyciela dla jego wnuka Felixa Łubieńskiego, który póżniéj, to jest, za księstwa warszawskiego, był ministrem sprawiedliwości, był jego przewodnikiem i towarzyszem w podróżach, zwłaszcza w czasie pobytu jego we Włoszech, aż do roku 1773. Gdy w roku 1775. Felix Łubieński swój zbiór medalów starożytnych ofiarował królowi Stanisławowi, poznał ten monarcha, tyle umiejący poważać uczonych, naówczas Albertrandego, i mianował go dozorcą swego gabinetu starożytności, a potém swym lektorem. Wtenczas wskazał Albertrandy monarsze, kochającemu nauki i nieszczędzącemu nakładów, gdy szło o ich dobro, środki do pozbierania porozpraszanych za granicą materyałów do dziejów ojczystych. Będąc autorem projektu, sam go z podziwieniem wszystkich wykonał. Udawszy się w roku 1783

do Włoch, w przeciągu trzech lat, tak z biblioteki watykańskiéj i z innych zamożnych księgozbiorów, jako téż z rozmaitych archiwów, porobił wypisy i wyciągi rzeczy, które do historyi polskiéj w jakowym stósunku zostawały. Wyciągi te własną Albertrandego pisane ręką, wyniosły sto dziesięć tomów in folio; późniéj w podobnymże celu udał się do Sztokolmu i Upsali, gdzie niemając pozwolenia robienia wypisów, rzeczy przeczytane, za swym powrotem do pomieszkania, przy pomocy swéj nadzwyczajnéj pamięci spisywał i tym sposobem rękopism excerptów z 200 tomów in folio utworzył. Wyciągi te z bibliotek włoskich i szwedzkich poczynione, miały się znajdować w Porycku, w bibliotece T. Czackiego. Król Stanisław August, umiejący cenić rzadkie Albertrandego talenta i jego zasługi, mianował go swym bibliotekarzem, obdarzył wielkim złotym medalem, z napisem „Merentibus,“ zaszczycił dostojnością biskupa zenopolitańskiego, i ozdobił nakoniec orderem Ś. Stanisława. W tymto przeciągu czasu nietylko uporządkował Albertrandy znaczną monarchy bibliotekę, ale nadto ułożył katalog jéj krytyczny, to jest: dodał przy każdém dziele treść i rozbiór onego. Przy zawiązaniu się Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie, Albertrandy jednozgodnie prezesem onego wybrany, urząd ten sprawował aż do śmierci. Rzadkie ten mąż od natury posiadał talenta, które przez pracę niezmordowaną wydoskonalone, prawdziwym uczyniły go polihistorem. Pojęcie szybkie, rozsądek trafny i rozległy, pamięć aż do podziwienia wierna, dar wysłowienia szczęśliwy, główniejszémi były władz umysłowych Albertrandego przymiotami; posiadał on, prócz ojczystego języka, którym doskonale podług upodobania umiał władać, język grecki, łaciński, hebrajski, francuzki, angielski, włoski i niemiecki, a niektórémi z nich nawet poprawnie pisał. We wszystkich prawie wydziałach umiejętności próbował sił swoich, a przynajmniéj one obcemi dla niego niebyły, lecz literatura klassyczna, historya i starożytności, najulubieńszym jego były przedmiotem. Dzieła po nim zostały następujące: 1) Dzieje Rzymu aż do cesarzów, tłumaczone z Makiera, z dołączeniem obszernych przypisków, w 2ch tom. in 8vo, 912 stronnic obejmujące. 2) Dzieje królestwa polskiego, porządkiem lat opisane, tłómaczone ze Schmita z wielu dodatkami in 8vo, 366 stronnic drobnym drukiem obejmują. 3) Zabytki starożytności rzymskich w pieniądzach, medalami zwanych, 16 pierwszych cesarzów, w trzech tomach, 1399 stronic. — W Monitorze, który wychodził w Warszawie przez lat dwadzieścia, wiele bardzo jest rzeczy przez Albertrandego pisanych; tudzież w Zabawkach przyjemnych i pożytecznych. Wiele nadto jest rozpraw jego i mów czytanych, osobliwie na publicznych posiedzeniach Towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk, które są po większéj części drukowane w Rocznikach tegoż towarzystwa. W szczególności należy tu rozprawa o muzach i o słońcu, jako bożku pogańskim. We wszystkich jego pismach polszczyzna jest dobra, styl czysty i pełny, co do okrągłości peryodów i ogółu bardziéj do stylu Liwiuszowego niż Cycerońskiego podobny. Prócz dzieł powyższych i prac uczonych tego wielkiego męża, zostały jeszcze nadto po nim liczne materyały w rękopismach, jakoto: Historya polska ostatnich trzech wieków, medalami poświadczona. Zbiór dziejów ojczystych, aż do panowania Władysława IV. i t. d., które to rękopisma od familii zmarłego przejść miały do zbioru uniwersytetu wileńskiego. *B. H. L. P.*

Ostatnie chwile życia i zgon Augusta II., króla polskiego.

(Dokończenie.)

Relacya śmierci nieśmiertelnéj pamięci Króla Jmci. Augusta Wtórego etc. 1ma Februarii 1733. anni, w Warszawie zmarłego podczas sejmu extraordynaryjnego dwuniedzielnego, spisana po francuzku ręką własną de Mr. l'Abbé St. Germain, który Króla Jmci in viam aeternitatis dysponował, wiernie popolsku przetłumaczona.

W piątek, to jest dnia 30. Januarii 1733., Mr. Thioli przyszedł do mnie o godzinie drugiéj po południu, donosząc mi, że choroba J. K. Mci. cale się nie umniejsza, ale owszem znacznie według zdania doktorów coraz bardziéj niebezpieczna, zaczém z woli Króla Jmci., dla nieprzytomności spowiednika jego, jestem naznaczony do téj dyspozycyi ostatniéj Króla Jmci. Zadziwiony i zasmucony tą niepocieszną nowiną, zaraz tego momentu poszedłszy do pałacu królewskiego, i nieco zaczekawszy w antykamerze, introdukowany byłem przez Mr. Thioli do Króla Jmci., zkąd wszyscy zaraz tamże w pokoju królewskim przytomni ustąpili. Znalazłem tedy Króla Jmci. bardzo słabego i wielkie bóle cierpiącego, ale przy zupełnym rozumie i rozeznaniu; po uczynionéj krótkiéj kondolencyi nad chorobą królewską, zacząłem mówić z Królem Jmcią., stósując się do powinności mojéj kapłańskiéj. Zrazu zdało się Królowi Jmci., że jeszcze dosyć sił mając, nie baczy się być w śmiertelném niebezpieczeństwie, ale w momencie uczyniwszy sobie Król Jmć. reflexyą, powiedział mi, że się zupełnie woli i dyspozycyi boskiéj poddaje, i to ochotném sercem akceptuje, cokolwiek się upodobało Bogu z nim uczynić. Wtenczas tedy mówiłem Królowi Jmci., że z tak piękną dyspozycyą trzeba się unižyć przed Bogiem, grzechów się spowiadać, a za

nie miłosierdzia boskiego żebrać, dla otrzymania odpuszczenia onych. Król Jmć. przyjął tę duchowną odemnie admonicyą z wielkiém nabożeństwem i rozsądkiem prawdziwie chrześciańskim, z któregom się zbudował, co mi konsolacyą było w tak smutnéj okazyi. Powiedział mi zatém Król Jmć., że trzy generalne spowiedzie przez życie swoje odprawił, życzyłby sobie i teraz czwartą uczynić, ale in hoc statu sił mu więcéj nie staje. Zdało mi się przez reflexye moje Królowi Jmci. dopomódz, i przypomnieć mu grzechy jego, których, żeby się spowiadał i prosił o odpuszczenie onych Boga.

Zacząłem najpierwéj czynić reflexye wszystkich grzechów, które mógł popełnić jako człowiek i jako król; na tém przerwawszy mi słowa, upewnił mię prawdziwém sercem, że się protestuje przed Bogiem, któremu powinien oddać rachunek wszystkich akcyj swoich; że nigdy nie myślił szkodzić Polsce, owszem się zawsze o dobro publiczne i o utrzymanie pokoju wniéj starał; reszty zaś grzechów swoich (ile mu bóle pozwalały) zwolna się, przy dobréj reflexyi, spowiadając, żałował serdecznie, jak prawdziwemu Chrześcianinowi Katolikowi należy. Przez dwie godziny prawie bawiąc u Króla Jmci., a nie widząc nagłego niebezpieczeństwa, zdało mi się niesfatygować na zbyt Króla Jmci. i pozwolić mu czasu do spoczynku, umówiwszy się wprzód z Królem Jmcią, że jutro rano przyjmie przenajświętszy Sakrament kommunii, i ostatniego pomazania. Wyszedłem z pokoju królewskiego, nieoddalając się jednak cały wieczór z pałacu. W pół do jedenastéj w wieczór Jmć. pan Brühl wszedł do Króla Jmci., na którego czekałem informacyą, czy się polepsza Królowi; powiedział mi, że Król Jmć. coraz słabszy, bez żadnéj nadziei polepszenia, zaczém, nieodwłocząc daléj, w administracyi sakramentów kościelnych Królowi Jmci., posłałem nieomieszkanie do Ś. Krzyża, żeby przenajświętszy Sakrament i oléj święty do ostatniego pomazania przyniesiono. Wszedłszy do Króla Jmci w wieczór o jedenastéj godzinie, dla zakończenia ostatniéj dyspozycyi i do przygotowania Króla Jmci. do przyjęcia przenajświętszego Sakramentu i ostatniego pomazania, dałem Królowi Jmci. absolucyą. Jmć. ksiądz Baudouin, Missyonarz, przyszedł po północy, a ja odprawiwszy z Królem Jmcią akty wiary, nadziei, miłości boskiéj, kontrycyi i rezygnacyi na wolę boską; Król Jmć. zaś oświadczając się, że odpuszcza nieprzyjaciołom swoim, i prosi tych o odpuszczenie, którychkolwiek mógł był urazić, przyjął z wielkim żalem za grzechy, skruchą, nabożeństwem exemplarném, z rąk Jmci. Baudouin przenajświętszy Sakrament ciała i krwie pańskiéj. Także z tą samą dyspozycyą przyjął Król Jmć. Sakrament ostatniego pomazania olejem świętym. Już druga godzina po północy była, kiedy się to skończyło.

W sobotę 31. *Januarii*. Cały dzień nie wychodziłem z pałacu. Po południu Król Jmć. był spokojniejszy, bóle troche ustały, i najwięcéj tego dnia wziął pośiłku w jedzeniu i piciu od przybycia swego do Warszawy. Jmć. ksiądz Nuncyusz przyjeżdżał do pałacu, nawiedzając Króla Jmci, i zostawił Królowi krzyżyk z zupełnym odpustem w godzinę śmierci, który mi Jmć. pan Moszyński, podskarbi nadworny koronny, w ręce oddał; nie odszedłem z pałacu aż o północy.

W niedzielę 1. *Februarii*, o godzinie piątéj, rano, dano mi znać, że Król Jmć. bardzo źle się ma, i że już zaczyna konać, z wielką tedy i usilną pilnością pobiegłem do Króla Jmci., którego już zostałem konającego bez mowy i rozeznania; zaczém oddawszy przez modlitwy duszę jego Bogu, Król Jmć. spokojnie skonał. W godzinę po śmierci królewskiéj Jmć. pan Brühl dał znać Jmci. panu marszałkowi wielkiemu koronnemu, donosząc Jmci. tak smutną nowinę. O godzinie dziesiątéj miałem mszą w pierwszym pokoju apartamentów królewskich, na któréj końcu przyszli Jmć. pan marszałek wielki koronny i książe Jmć. biskup krakowski, podkanclerzy koronny, nawiedzając ciało królewskie.

Niepowinienem zapomnieć przy téj krótkiéj relacyi, że Król Jmć. rozkazał mi powiedzieć, że rekommenduje wszystkich sług swoich królewiczowi Jmci., synowi swemu, i żeby królewicz Jmć. uczynił jaką fundacyą na ubogich. Upewniam wszystkich słowem kapłańskiém, że Król Jmć. w tym ostatnim momencie życia swego pokazał prawdziwie wielkość chrześciańską, nie obawiając się śmierci, przy sentymentach wiary ś. katolickiéj z zupełną skruchą i żalem za grzechy, mając nadzieję w miłosierdziu boskiém i niewinnéj męce jego. Bóle tak wielkie i ustawiczne, z cierpliwością znosił bez przykładu, nigdy się na nie nieskarżył, ustawicznie tylko wzywał najświętsze imię Jezus. Trzeba się tedy nieomylnie spodziewać, że Bóg będzie miłościw duszy Jego, ponieważ dał Królowi łaskę umrzeć śmiercią sprawiedliwych.

Dyaryusz oblężenia Częstochowy w roku 1770.

(Z rękopismów pana N Raśińskiego.)

Konfederacya barska, jak wszelkie bliższe naszéj pamięci zdarzenia, nie jest jeszcze dostatecznie wyjaśnioną. Mało wiedzieliśmy o niéj szczegółów. A i to nawet, cośmy o niéj dotychczas wiedzieli, było tylko urywkowém, zbyt ogólném, przez obcych, mianowicie zaś przez Francuzów: Belinkurta, Viomenila, Dumuriera, Ferranda, Ruliera, opowiadaném. W nowszych dopiero czasach pamiętniki Wybickiego



Widok klasztoru jasnogórskiego w Częstochowie.

i Kitowicza rzuciły nieco więcéj światła na tę część historyi narodu naszego. Wszakże nie poświęcone wyłącznie opowiadaniu dziejów konfederacyi barskiéj, dają tylko główne jéj zarysy, i wyprowadzają na scenę samych tylko naczelników wielkiego tego, ale oraz smutnego i w swoich skutkach zgubnego dla kraju drammatu. Mianowicie zaś pod względem strategicznym nie zaspokajają one bynajmniéj ciekawości czytelnika. Z tego względu obrona Częstochowy jest jednym z najpiękniejszych ustępów historyi konfederacyi barskiéj. Opis jéj szczegółowy, z współczesnego rękopismu wyjęty, umieszczamy tu jako ważny materyał do dziejów konfederacyi wspomnionéj.

Dnia ostatniego Grudnia (70.) pokazał się nieprzyjaciel na górach odleglejszych fortecy o godzinie 9 z rana, gdzie natychmiast jazda konfederacka, w pomienionéj fortecy znajdująca się, pod tłumy nieprzyjacielskie mężnie natarłszy, cały marsz onego wstrzymała, a w tém strzelaniu flankiery z obydwóch stron, gęstem zręcznéj strzelby ognia dawaniem, aż do godziny drugiéj po południu, utarczkę kontynuowali z szkodą żołnierza nieprzyjacielskiego, z strony zaś konfederackiéj ochotnik ocalony został. Po tém spotkaniu nieprzyjaciela, gdy jazda dla popasu zmordowanych koni do fortecy swojéj zmierzała, nieprzyjaciel do miasta Staréj Częstochowy w bojaźni powoli ciągnął szwadronami, lecz rzęsistym z armat ogniem rażony, cofać się zaczął w górę, ale i tam kulą armatnią gęsto ścigany, widząc wojska swego stratę, nieco daléj pomykać się zdał. Wtém popasłszy konie jazda konfederacka, to jest: husary, Bośniacy, ułani, dragonia leibregimentu i inszy ochotnik polski, tak się mężnie stawili nieprzyjacielowi, iż go aż milę od fortecy do Będzin odparowali nieustannym z ręcznéj strzelby ogniem. W téj drugiéj potyczce nieprzyjaciela było przeszło 100 osób rannych, drugie tyle lub więcéj zostało, a z strony konfederackiéj z regimentu dragonii 2ch officerów i rannych lekko, kapitan Chyczewski i chorąży Borczyński. (Chyczewski już był w niebezpieczeństwie, od nieprzyjaciół otoczony, ale mężnie broniąc się, uszedł.)

1771.

Dnia 1. Stycznia, gdy nieprzyjacielskie siły dojrzeć było z rana ciągnące do Staréj Częstochowy, wyszedł o godzinie 7. podjazd konfederacki w komendzie Puławskiego marsz. Łomżyńskiego do wsi Kamieniec, o ćwierć mili od fortecy Jasnogórskiéj. Tam przez 7 godzin mężnie stawiwszy się nieprzyjacielowi, rejterując się do fortecy, więcéj nie poniósł szkody, gdy cała forsą ustępował porządnie, prócz śmiertelnie zadanéj rany Borzęckiemu, chorążemu, a Kozaków karabinierowie jak płytką kosą ścinali z koni, rannych zaś sami Moskale w przytomności miejskich ludzi liczyli przeszło 150, a w koniach niezmierną ponieśli klęskę, i tym sposobem ogarnęli Starą Częstochowę. Tegoż dnia podjazd rzeką Wartą w licznych szwadronach jazdy i piechoty ciągnął nieprzyjaciel pod konwent Ś. Barbary, spodziewając się, iż go armata z fortecy niedosięgnie, lecz z armat szwedzkich i szmigownic wielkiego kalibru, tak z bastyonu Ś. Jakóba, jako też od Ś. Barbary, nieprzyjaciel rażony został, iż widząc trupa mostem położonego, jazda, co koń mógł wyskoczyć, umykała do schronienia się za mury świętéj Barbary, a piechota w bok udawszy się, w rzece Warcie z głową w nagłym strachu nurzała się, na drugą stronę umykając rzeki, którym wspomniona rzeka nie małą klęskę przyniosła. Potém niezmierna moc podwód szła z furażami, podczas ich marszu dla nieprzyjaciela przygotowanemi, do których niestrzelano z fortecy, żałując niewinnego ludu, i tak nieprzyjaciel położywszy się pod mury Ś. Barbary, znaczną część piechoty i jazdy pomieścił nocą na cmentarzu, murem opasanym, przy kościółku Ś. Barbary, wszystko to po za górę sprowadziwszy nocą. Z wieczora zaś około fortecy kilkanaście koni mocne podsłuchy nieprzyjaciół rozstawiwszy, sto kilkadziesiąt wydał ogniów z armat burzących i z moździerzy rzucanemi bombami, dla spalenia fortecy. W reście więc forteczna armata i jednego próżno strzelania nie przepuściła, bo nieprzestanny jęk w mieszczącéj się piechocie w ogrodzie Ś. Barbary, aż w fortecy był słyszany. Co gdy się stało, nieprzyjaciel kładąc faszyny i przysypując ziemią na boku, szańce jedne przy drodze idącéj do Ś. Barbary od Jasnéj góry, drugie przed fórtą konwencką, przez noc wygotował, które zaraz przededniem armatami opatrzył. Lecz wyżéj nadmienione strzelanie i bombardowanie nieprzyjacielskie, najmniejszéj w fortecy nieczyniły szkody. Miasteczko Nowa-Częstochowa, nad samą fortecą leżące, z wieczora zapalone zostało, co przeszkodziło nieprzyjacielowi działa swoje tamże zasadzić.

Dnia 2. Stycznia. O godzinie 7. zacząwszy strzelać ochotnik polski z kozactwem i karabinierami nieprzyjacielskimi, zaczął się ścierać z mianowanymi wolontaryuszami. O godz. 9. z rana kawalerya konno i infanterya pieszo wyszła. Z fortecy dawano ognie z szańców nieprzyjacielskich rzęsisto, z armat rzucano bomby do fortecy, żadnych jednak szkód nie przynoszące; lecz i konfederacka armata przez ten czas nie milczała, znakomite w nieprzyjacielu czyniąc klęski. Gdy się zaś na ochotnika silny z ręcznéj strzelby ogień zaczął, armatne ustało strzelanie, a żołnierz konfederacki tak się mężnie stawił, że infanterya natarczywa aż za szańce nieprzyjaciela przegoniła. Trwała ta utarczka aż do godziny 2. po południu. Z murów téjże fortecy, hakownicami i jańczarkami nie mało w nieprzyjacielu czyniono szkody, dość, że trupa kilkanaście wozów naładowanych zawieziono pod

figurę Ś. Rocha; innych zaś, dla wstydu, dla wielości pobitych, w rzece Warcie topiono.

Z strony Konfederatów jeden tylko dragon lekki otrzymał postrzał, i koń zabity pod ułanem. Wieczorem muzyka i pieśni ku czci Matki Boskiéj i t. d. Téj nocy zrobiono trzecie szańce na górze, na przeciwko wśi, Kawedrze nazwanéj, wprost wieży i kościoła wielkiego w fortecy stojąc, tam możdzierze i armaty zburzające wprowadzono i ammunicyą, z arsenału wrocławskiego przystawione, jak mówią, za pieniądze.

Dnia 3. Stycznia. Z szańców dawnych, pod Ś. Barbarą zrobionych, zaczęto bombardowanie śilne, przecież fortecy nieszkodliwe, bo szczęściem bomby nie donośiły, a choć kilka padło do środka, żadnéj szkody w ludziach nieuczyniły, lecz, gdy równy z fortecy szedł ogień armatni z podziwieniem, jednym razem ustało bombardowanie. Znać, że możdzierze rozbite, albo i sam możdzierz napsuty został, bo na wychodzący nieprzyjacielski ogień wykierowane były armaty z fortecy. Zaczém noc przyspieszona trochę spokojności sprowadziła. Dopiero o godzinie 9. nieprzyjaciel zaczął bombardować z kilku możdzierzy tak rzęsisto, że się powietrze mięszało, ale bomby tyle przyniosły pożytku, co i pierwsze, gdyż nie tylko żaden człowiek w fortecy nie był zabity, ale zdrowi i nienarażeni wszyscy zostali. Kule od murów odbijały się. Nieprzyjaciel zaś poniósł w ludziach znaczne szkody. Reszta téj nocy spokojnie przepędzona.

Dnia 4. Stycznia. Dla obchodzenia wigilii ruskiéj Bożego narodzenia, częścią dla podnoszenia bateryj osłabionych trzecich szańców, milczała nieprzyjaciela armata, ale do przeszkodzenia z fortecy szańców nieprzyjacielskich szedł ogień armatni, nie bez kilku trupów za każdém strzelaniem położenia. Jednakże impreza nieprzyjacielska, bez względu na stratę ludzi, choć nie skoro robotę uskuteczniać uśiłowała, czém dla przeszkody kawalerya i infanterya około godziny 9. z rana wyszła za palisady, i tak z ręcznéj strzelby zaczął się ogień, podczas którego, jak słoma leciał nieprzyjaciel postrzelany, rażony. Lecz z Konfederatów żaden nie zginął, dwóch tylko z piechoty wzięło postrzał tak nieszkodliwy, że po nim stawili się nieprzyjacielowi. W trwającéj utarczce pędząc ku szańcom, zmięszała zapalczywa Konfederatów odwaga nieprzyjaciela; rzucili się do armat nieprzyjaciela kanonierowie, lecz i tu doznali nieszczęśliwych skutków, bo odpowiadająca z fortecy armata, znaczną nieprzyjacielowi przyniosła klęskę. Tegoż dnia, około godziny 2., posłał Drewicz o poddanie się, to oznajmiwszy, że każdemu będzie wolno do domu swego powrócić, i że dla tego bezpieczeństwa pas na drogę odbierze. Ale naśi kazali mu powiedzieć, iż bynajmniéj nie są w takiéj potrzebie, owszem Drewiczowi, jeźliby on oblężenia odstąpić niechciał, sami pas dadzą aż do Petersburga. Tą odpowiedzią rozgniewany, jednym kazał bombardowaniem przypuszczać attaki, lecz ani kule burzące, ani bomby palące, podczas rzucania, najmniejszéj szkody w ludziach Konfederatom nie czyniły. Tarczę tylko zegarową przebiła kula, nietchnąwszy sztuk zegarowych. Wpadła pod ten czas jedna bomba w środek wieży, ale protekcyą Matki Boskiéj ugaszona; inne zaś bomby, spadające na kaplicę kościoła wielkiego, z boku przymurowaną, dachówki troche na kaplicy Aniołów stróżów zarwały, nic wewnątrz kaplicy nie szkodząc. Podczas którego szturmu kapela konfederacka ludowi swemu do ukontentowania, a nieprzyjacielowi do przykrego słuchania, na różnych instrumentach wygrywała hymny. Co mając za wzgardę komendant nieprzyjacielski Drewicz, kazał na wszystkich szańcach z burzących armat ognia dawać, i bomby z możdzierzy rzucać. Tegoż czasu samych bomb puszczono 115, prócz kul armatnich; z tych bomba jedna padła na stajnią, 6 koni raziła, jednakże nie wszystkie szkodliwie; druga wpadła do budynku, w nim zostawszy się matka Paulina jednego, śmiertelnie raniona (która wkrótce życie dokonała), innych szkód nie zaszło.

W tém samém bombardowaniu wyszedł Puławski z fortecy o godzinie 9. w nocy podziemną drogą z dragonią pieszą i infanteryą, trzema kolumnami, rozporządzonemi podczas ognia z armat wybuchającego, spiesznie posuwając się ku baterYi nieprzyjacielskiéj aż na szyldwachy przy niéj stojącéj. Wpadłszy ze stron trzech, to jest: z boku i z frontu obskoczywszy na bateryą, częścią bośniackiemi i ułańskiemi drzewcami sromotnie z bateryi uciekającego, i bronić się niemogącego, zabijali, gruntownie razili nieprzyjaciela; kanonierom, leżącym na armatach, wzbraniającym zagwożdżenia, szablami ręce i łby ucinali, młotami do zabicia armatnich zapałów przygotowanemi głowy rozbijali, armat trzy wielkich zagwoździli; ale gdy od Ś. Barbary piechoty i karabinierów, blisko pod górą stojących, przyszedł sukurs, nie tylko Konfederaci porządnie rejterowali się, klęskę czyniąc nieprzyjacielowi, lecz trochę odsunąwszy się od bateryi, „vivat Rzeczpospolita!“ wołać zaczęli. Przez cały ten atak w szańcach i po nadeszłym sukursie nieprzyjacielskim, w rejteradzie 4. Konfederatów zginęło, a 17 rannych, między którymi kapitan Chyżewski, chorąży od dragonii, i Solerowicz bagnetami pokłuty. Z tych 17. jeden umarł nazajutrz, a 16stu za opatrzeniem felczerów nawet osłabionymi być się nie sądziło; i tak o godzinie 12. wszyscy do fortecy powrócili, prócz 4. zabitych, na których powracających ciemną porą nie śmiał nieprzyjaciel natrzeć, w wielkiéj zostając trwodze, tego u siebie będąc mniemania, że sukurs przyszedł do fortecy. Nieprzyjaciel po-

tém długo do pamięci przyjść nie mógł, co się z nim stało. Na Sołaczki, podjazdy rozséłali, chcąc się dowiedzieć, z któréj strony na nich to nieszczęście padło. Za czasem jednak o wycieczce z fortecy uwiadomieni, iż sam pułkownik był, dowiedzieli się jednak od ludzi blisko mieszkających, którém miejscem pod ziemią wyszedł, bo im się w głowie pomieścić nie mogło, aby przy tak straszném bombardowaniu, mógł po wierzchu ziemi do szańców przystąpić; trwożyli sobą prości, że jak drugi raz pułkownik pod ziemią wyjdzie, to „nuż wsiech wyreże.“ Nazajutrz wożący ludzie zeznali, iż około 200 trupa zakopano, i bardzo wiele w rzece topiono. Tegoż czasu najprzedniejszy bombardyer, z Prus przysłany, był raniony, i za granicę odesłany z niemałém narzekaniem o stratę tegoż bombardyera. Nazajutrz była solenna votywa i processya, śpiewając *Te Deum*, bijąc rzęsisto z dział na wszystkich bastyonach.

Dnia 5. Stycznia. Podczas Bożego narodzenia ruskiego ucichł nieprzyjaciel. Dla straty ludzi i armat w szańcach zagwożdżonych, rzadko było i po ich bateryach widzieć ludzi. W fortecy zaś z haukownic tylko i jańczarek ognia dawano, na posłuchy i objeżdżania do nieprzyjaciela. Zaś tego dnia aż do czapstrzyku i przez całą noc żadnego strzelania słychać nie było. Jednakże wielu officerów nieprzyjacielskich śmiertelne odnieśli rany.

Dnia 6. Stycznia. Od godziny 8. z rana nieprzyjaciel bez strzelania spokojnie się zachował. Po godzinie 8. konfederacki ochotnik szyldwachy nieprzyjacielskie zganiał, którym poprzybywało kozactwo na pomoc, i im więcéj się skupiało, tym więcéj szkody w żołnierzu nieprzyjacielskim i w koniach ponosiło. Trwała ta utarczka do godziny 12., nie bez znacznej szkody w żołnierzu nieprzyjacielskim, częścią zabitym, częścią rannym. Tegoż dnia samego, o godzinie 2. po południu, zaczął bombardowanie nieprzyjaciel, ale słabo. O tém wiedzieć trzeba, że po spaleniu Częstochowy, został koniec miasteczka od ognia ocalony w kilku domach przy kościółku Ś. Rocha; podobnież i z drugiego końca od Staréj Częstochowy domy dwa i stodoła spaleniu niepodpadły. Komenda ta nieprzyjacielska swe sprowadziwszy armatę do kościoła świętego Jakóba, murem opasanego, karabinierów i piechotę tamże umieściła. Kozacy blisko mając sukurs z pomienionego kościoła w tych budynkach i stodole, założyli sobie pikietę w kilkudziesiąt przy żarzysku, dla ogrzania się podczas uprzykrzonego zimna. Lecz gdy to postrzegł pułkownik konfederacki, na flanki wysławszy piechotę, cale na tém nieszkodował, bo kilkunastu Kozaków z ręcznéj postrzelono strzelby. Tegoż dnia officer pruski, wolontaryuszem mieniący się, zabity został. Po którém porażeniu nieprzyjaciela więcéj kozactwa i karabinierów z pod kościoła Ś. Jakuba ku fortecy zbliżało się, ale częścią z ręcznéj strzelby postrzelani, częścią z armaty kartaczami rażeni, nazad się za kościółek rejterowali. W tém flankierowaniu jeden tylko Bośniak konny konfederacki lekko był raniony, a nieprzyjaciel znaczną klęskę poniósłszy, do ucieczki został przymuszony. Przypędziwszy tedy piechota i armaty, i tłum nieprzyjacielski, drew z pogorzeliska do palenia ognia na bastyony sobie przywiozła. Tegoż dnia po bitym czapstrzyku i miłym kapeli wygrywaniu, kilkadziesiąt bomb rzucono do fortecy, żadnéj szkody nie uczyniwszy. Reszta nocy w cichości spędzona.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Franciszek Dyonizy Kniaźnin.

(Dalszy ciąg.)

Patrzymy na dopełnienie tego, co się rzekło, jak stale napojony témi prawidłami, ocenia godnie Gresseta, Gesnera i Metastazijusza. „Co za różnica,“ mówi, „między Teokrytem a trzema innymi, choć tak sławnymi w tym wieku! w piérwszym jest lekkość z kwiatka na kwiatek przelotna, w drugim zaś ta ciągła słodycz aż do przesytu, w trzecim dowcipna tylko tychże samych myśli powtarzanka. Piękności tu ich są błyskotne, ujmują i nikną wnet z oczu, ale Polifem Teokryta ciało ma czerstwe, przez które dusza jego silnie tchnie, serce zaś tak otwarte i wystawia tego, co mówi, tak naocznie, że i widzim dokładnie jego tam sytuacyą, i zupełnie jéj wierzymy.“

Porównajmy zdanie to do zdań o literaturze i poezyi jego wydawcy? co za ogromna różnica w ocenieniu, w uczuciu piękności, a przecież wydawca miał to być polski Boalo!

Wszyscy prawie poeci naśi przeszłego wieku pisali bajki; rodzaj ten poezyi był wówczas w modzie, tak jak z początkiem tego mieliśmy mnóstwo Bajronowskich poematów, albo Walter-skotycznych romansów. Kniaźnin równie posiadł za innymi. Posiadał wysoką zaletę, służącą temu rodzajowi poezyi, i łatwość, jakoż wiele bajek jego odznaczają się szczególnym wdziękiem opowiadania, główną i nieodzowną cechą dobrego bajkopisarza. Pomiędzy wszystkimi, którzy naśladowali Lafontena, on może najwięcéj przybliżył się do doskonałości oryginału. Dowód tego zdania możnaby nie jeden przytoczyć, ale któż nie pamięta z dzieciństwa swego bajek Kniaźnina?

Jakkolwiek „Zale Orfeusza nad Eurydyką,“ są poprawione i skrócone, mało na tém zyskała pamięć naszego poety. Chcieć ukoić boleść prawdziwą i mocną przyjaciela, za pomocą staréj już bajki mitologicznéj, nie dowodzi ni właściwości obranego przedmiotu, ni nawet dobrego smaku i delikatnego współczucia. Jak się nią mógł rozerwać stroskany przyjaciel? Na jakich nadziejach mogło się wesprzeć zbolałe jego

serce? Jakoż niewłaściwość, jakeśmy mówili, tego przedmiotu, zabiła zupełnie talent i czucie poety. Sąto treny bez prawdziwego żalu, boleść udana, na zimno, bez koloru, bez prawdy. Żale te, zdaniem naszém, są najlichszym płodem pióra Kniaźnina. Jakby jeszcze raz na umyślne przeciwieństwo, sztucznie ułożone, aby jedno drugie wpotrzebie wesprzeć mogło, przychodzi nam, rozebrawszy skrzywiony żal Orfeusza, zostanowić się nad równie skrzywioną wesołością pieśni Anakreona. Rodzaj ten nie mógł przystawać ni do umysłu, ni do serca Kniaźnina. Materyalne uciechy, ziemskie, poziome, cele, życie i szata Bachantki, nie były do twarzy kochankowi Klimeny. Jeśli mamy sądzić te ulotne prace Kniaźnina podług ogólnego wyobrażenia, jakie o jego talencie mamy, jeślibyśmy chcieli wytłumaczyć to zjawienie się, jako skutek uczuć i charakteru poety, trudneby było położenie nasze, albowiem nic się nam nie zdaje sprzeczniejszém zstanowiskiem, jakie Kniaźnin zajmuje, jako wyższy liryczny poeta, jak te śpiewki wpół-trzeźwe, jak te piosnki lekkie, wesołe, obłożone liśćmi winogradu, ostawione flaszami wina. Rzecz zapewne jest niewątpliwa, iż talent Kniaźnina zupełnie liryczny, trudno musiał się nagiąć do tych form zupełnie sprzecznych wysokiemu swemu powołaniu, jakoż zawsze podług naszego wyobrażenia, jakie wynikło z rzeczywistego, jak się nam zdaje, pojęcia jego poetycznych zdolności, chcąc je zastosować do tych ulotnych piosnek, trudno możemy sobie wystawić poetę, którego serce zaprzątnione wielką namiętnością, musiało nadawać jego fizyognomii, jakiś wyraz posępny i tkliwy, razem okniętego z tego uniesienia, zupełnie właściwego jego poetycznemu usposobieniu z tą piosnką w ustach:

Kłopot z głowy ulata,
Gdy się winem uraczę,
A sądząc, żem pan świata.
Śpiewam sobie i skaczę.
Bluszczami uwieńczony,
Deptam wszystkie korony.
Bodaj to zgoda, bodaj,
Chłopcze kielich mi podaj,
Ja myślę, że upitym
Lepiéj ledz, niż zabitym.

Jeśli każdy stawiąc obok siebie Kniaźnina, jako lirycznego poetę, z tęskną energiją i życiem, nie uczuje przykrych wrażeń na widok tego szczególnego przeobrażenia, kiedy bluszczem uwity, śpiewa sobie i skacze, wtenczas może sprawiedliwie będzie mógł nas oskarżyć o zbytnią surowość i niepobłażanie. Jednakże według wyobrażenia, jakie mamy o godności poety, szczególną nam się wydaje ta anomalija, która razem ze szczytu myśli i uczuć strąca wieszcza na poziome stanowisko biesiadnika, uraczonego winem.

Stósowniejszemi zapewne do talentu naszego poety były: „Matka Spartanka, Temistokles i Hektor.“ Każdy z tych dramatów był rozwinieniem jednéj myśli wielkiéj, ogólnéj, z któréj Kniaźnin czerpał wielką część swych natchnień, wielką część swych lirycznych śpiewów. Myśl tę wielką, głęboko uczutą, chciał wystawić poeta w równie olbrzymich obrazach, ale te prawie były nad siły jego. Ponieważ nam nie zostaje, jak tylko powierzchownie się zastanowić nad samym sztucznym utworem tych dramatów, które tak obrane z całego wdzięku tajemniczego swego istnienia, będą jak mumije suche i bez życia, ledwo tylko kilka słów o nich będziemy mogli powiedzieć. Położenie to będzie jeszcze trudniejszém, skoro się zastanowimy, że w nich sztuka prawie jest żadna, że wszystko zostało poświęcone jednéj myśli, jednemu uczuciu. Ani Matka Spartanka, ani Temistokles, nie są to dramata w surowém rozumieniu tego wyrazu, sąto tylko dyalogi dramatyczne, sceny oderwane prawie, w których poeta wybrał umyślnie osoby, przez które sam przemawia, których uczuciami sam rządzi, sam je nagina do swoich pojęć, chociaż niby historyczne ich położenie jest wierne, prawdziwe. Są to starannie wyszukane przedmioty, ubrane niby w dramatyczne życie, ale zupełnie niewolnicze, ślepo poświęcone jednéj myśli, któréj służą za dopełnienie. Każda z osób składających tę całość, każda scena wzięta przypadkiem, jest prawie żadna pod względem sztuki, służy tylko za środek, za expressiją. Są tam miejsca nadzwyczajnie słabe, że przytoczymy jeden tylko przykład, który posłuży za dowód naszego twierdzenia.

Temistokles wygnany, znajduje się na dworze króla perskiego, wtenczas właśnie, kiedy Lizymak sprawia się z swego poselstwa, które ma jego wydanie na celu.

Neokles.

Ojcze! co myślisz! kędy się przedzierasz?
Strach mnie tych oczu, zdaje mi się każdy
Na ciebie tylko cały wzrok obracać,
Oto straż, oto i sam król, odejdźmy.

Temistokles.

W tym tłumie ludu, na stronie zostaniem.

Neokles.

Ach! niebezpieczno!

Temistokles.

Dajże pokój, cicho!

(Dokończenie nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Łukaszewicz.)